

Robotnicy.

Pracowaliśmy na równinie. Była to monotonna równina. Pieśń o niej nie zabrzmiałaby ani jednym silniejszym dźwiękiem. Nie było tu lasów ni wzgórków — gdziekolwiek obróciłeś wzrok, pola i wsie osiadły płasko; odnosiłeś wrażenie, że patrzysz na wewnętrzną powierzchnię swej dłoni powiększoną monstrualnie. Ginał twój wzrok; czasem myślałeś, że w ogóle nie masz oczu i jesteś ślepcem. Człowiek głupiał.

Kazimierz powiedział do mnie kiedyś:

— Gdybym nie był komunistą, nienawidziłbym tego miejsca tak, jak nienawidzi śmierci człowiek, który kocha życie. Ja tu umieram. Pochodzę z Sandomierskiego; tam ziemia jest bujna i gorąca. Jak tylko skończymy budować ten przeklęty most, nie wrócę tu już nigdy i zabronię tu przyjeżdżać swoim dzieciom.

Betoniarz Stefan, chłopak z warszawskiego Marymontu, mówił:

— Jak tylko skończymy budować ten cholerny most, to jak nie piję, urznę się jak świnia, potem trzy dni odpoczywać będę w komisariacie. Boże! Gdyby tu chociaż był komisariat... Pół roku klepię już ten przeklęty most; oszaleję chyba, przez ten czas nie widziałem ani jednego drzewa!

Zbrojarz Kamiński, człowiek starszy, poważny i nadzwyczaj religijny, mówił:

— Po co ja tu, cholera, przyjechałem? Ja tu przestaję wierzyć w Boga. Zdaje mi się, że Bóg stwarzając świat zapomniał o tym kawałku ziemi, a może go i przeklął. Ja tu nie mogę żyć.

Ja sam starałem się milczeć. Nocami wychodziłem na dwór i patrzyłem w niebo; nad tą ziemią ono także wydawało mi się płaskie i nudne, gwiazdy — niepotrzebne i drażniące. Nie zaglądali tu do nas inni ludzie; samych siebie znaliśmy już na wylot: każdy z nas wiedział wszystko o żonie, dzieciach, domu czy kochance drugiego. Zdawało nam się, że powiedzieliśmy sobie już wszystko, co można. Ja sam myślałem, że nie wyrwę się stąd już nigdy; przestałem wierzyć, że istnieją gdzieś miasta, ulice, p r a w d z i w e domy.

Mieszkaliśmy w barakach: sklecono je byle jak, sposobem gospodarskim; w praktyce oznaczało to nasz ciągły i bezpośredni kontakt z przyrodą i klimatem. Gazety na budowę przywoził nam listonosz z miasteczka odległego o kilkanaście kilometrów; gdy pił normalnie — gazety spóźniały się o jeden dzień; gdy trochę mocniej — gazety spóźniały się o dwa dni; a jak go przycisnęła chandra — to przez cały tydzień nie wiedzieliśmy, co się dzieje na świecie. Raz betoniarz Stefan pobił listonosza, lecz to nic nie pomogło; wręcz przeciwnie — życzenia, przesłane nam przez rodziny na Nowy Rok, odebraliśmy po Trzech Królach.

Jesienią do naszych baraków kapiała wilgoć; odrywaliśmy ze ścian zdjęcia naszych drogich i chowaliśmy je do drewnianych kuferków, pod prycze. Zimą hulały dzikie wiatry, z żelaznych piecyków buchały kłęby czarnej sadzy, osiadając na naszych ubraniach lepka i tłustą powłoką; chodziliśmy zakatarzeni; głosy nasze brzmiały niczym głosy rzezimieszków. Przestaliśmy się golić i myć, gdyż w barakach panowało niemożliwe zimno; Kazimierz ze swoją czarną brodą wyglądał jak Madej; siwy zbrojarz Kamiński — jak patriarcha; blond szpicbródka Stefana z Marymontu nieodparcie przywodziła na myśl postać głupawego gogusia z operetki; a najżałośniej wyglądałem ja sam. Zarost mam nietęgi, rosnący rzadkimi kępkami; twarz moja wskutek tego budziła wątpliwości, czy od czasu kąpieli, jaką uraczono mnie zaraz po przyjściu na świat, spotkała się z wodą.

— Cóż — mówiliśmy. — Aby do wiosny.

Przyszła wiosna; późna, zimna i o wiele gorsza od jesieni. Jednego dnia padał ohydny deszcz, następnego — kaszowaty śnieg; wiatr podcinał go i chłostał nim po naszych twarzach. Kombinezony nasze nie wyschły już nigdy; oczy mieliśmy czerwone od ciągłej gorączki. W barakach zawaliło się pół dachu; dwa dni trwało, nim poradziliśmy sobie jako tako. Na szarym niebie od czasu do czasu ukazywało się blade słońce; w kałużach, którymi pokryty był cały plac budowy, wyglądało ono jak oczko żółtego tłuszczu. Podnosiliśmy ku niemu nasze umęczone twarze; słońce zaraz znikało.

Kazimierz mówił:

— Co, do diabła spuchniętego! Gdybym nie był partyjniakiem, uciekłbym stąd do wszystkich choler. Pojechałbym do swojego brata: on jest proboszczem pod Małkinią. Zostałbym u niego dziadem kościelnym. Tylko mi wstyd; to jedyna rzecz, która mnie tu trzyma. Myślę o dniu, w którym będę stąd wyjeżdżał: mój wrzask będzie słyhać aż w dziesiątej wsi. A prawdę mówiąc, chłopcy, zaczynam czuć, że gdzieś mam ten cały nasz most.

Stefan mówił:

— Ech, sekretarzu! Aby do lata...

Jego nigdy nie opuszczał optymizm: jednego dnia kochaliśmy go za to, drugiego — nienawidzili i uważali za idiotę.

Po długiej i strasznej zimie, po cherlawej, nie donoszonej wiośnie — przyszło potworne, dręczące upałami lato; takich upałów nie pamiętali w okolicy nawet najstarsi ludzie. Pot zalewał nam oczy, przeżerał koszule, spływał wzdłuż całego ciała; zima wydawała nam się teraz bajką. Byliśmy czarni; oblaźła z nas siódma skóra; pokryci pęcherzami jęczeliśmy w nocy, nie mogąc przewrócić się z boku na bok. Kamiński zęgnął się i mówił ponuro:

— Boże, pokarałeś grzesznego...

Z nienawiścią patrzyliśmy na kilka kobiet, które pracowały wśród nas; gdyby nie one, moglibyśmy łązić nago. Zresztą — przestaliśmy na nie zwracać uwagę. Pewien inżynier, który przyjechał na inspekcję budowy aż ze stolicy, pół dnia chodził jak błędny, nie rozumiejąc, gdzie się znalazł. Potem rzekł do mnie, pokazując w moją pierś:

— Przepraszam, czy pan w domu także chodzi nago?

— Tak jest, panie inżynierze — odrzekłem. — Tylko jak jestem w domu, to jeszcze maluję się w pasy: seledynowe, błękitne i bordo. Tutaj nie mogę: na budowie mamy tylko minię. Gdyby pan inżynier był coś łaskaw zadziałać w tej sprawie!

Spojrzał na mnie białymi oczyma szaleńca i rzekł:

— To dziwne. To bardzo dziwne.

Budowaliśmy most. Budowaliśmy go nie z pieśnią, nie z ochotą; choć wiedzieliśmy, że pracować trzeba i że piękną rzeczą w życiu człowieka jest praca. Ten most budowaliśmy nienawiścią, rozpaczą, chęcią ucieczki z tej równiny, która jak polip wyssała nasze serca i nasze dusze; marzyliśmy o jednej rzeczy: aby nigdy już tu nie powstała tu nasza noga. Dobieraliśmy ohydne przekleństwa; przestaliśmy mówić — porozumiewaliśmy się klątwami. Gdy ktoś z nas użył zwykłego słowa, reszta patrzyła nań ze zdumieniem. Kazimierz gryzł się z tego powodu i klął najbardziej złowieszczo. Stefan doszedł do mistrzostwa budowy: klął przez godzinę i kwadrans bez przerwy, nie powtarzając ani jednego przekleństwa; nazwaliśmy go "Słownikiem mostu". Zbrojarz Kamiński dawno już zwątpił w swe zbawienie wieczne i trzy książeczki do nabożeństwa sprzedał listonoszowi za ćwiartkę wódki. Ja ułożyłem na cześć mostu pewien poemacik, wobec którego fraszka wydaje mi się dziś pewne pikantne skądinąd bezeceństwa dziadka Fredry. marzyliśmy tylko o jednej rzeczy: o dniu, który będzie naszym ostatnim dniem t u t a j.

I zbudowaliśmy ten most. Lecz nie mieliśmy siły na to, aby się urznąć, tańczyć lub śpiewać; tego dnia Kamiński nie przeżegnał się nawet na dobranoc.

Most obwieszono transparentami; dziatwa szkolna, którą przywieziono tu na trzech ciężarówkach, śpiewała pieśni masowe; wygłaszano mowy, przecięto wstęgę, maszynista rzucił z parowozu pęk kwiatów, a orkiestra wojskowa, także sprowadzona na ciężarówkach, po raz dziesiąty grała tego samego marsza; operator kronik filmowych szalał z kamerą, czepiając się jak pajak poręczy mostu. Młody człowiek z Radia mówił do mikrofonu:

— Widzimy twarze budowniczych tego mostu. Są pełne wielkiej dumy i radości. Widzimy przodowników pracy i młodzież, która wychowała się na budowie tego mostu. Masa kwiatów! Ach, żeby państwo widzieli, żeby państwo mogli tu być z nami! To wspaniały

dzień dla wszystkich budowniczych tego mostu! Widzimy twarz towarzysza Kazimierza Rogalskiego, sekretarza organizacji zakładowej. To twarz człowieka, który jest dumny i szczęśliwy ze spełnionego obowiązku. To na pewno najszczęśliwszy dzień w życiu tego człowieka.

Wtedy stała się rzecz nieoczekiwana. Kazimierz podbiegł do spikera, wyrwał mu mikrofon i podniósłszy go na wysokość swej wykrzywionej wściekłością twarzy, ryknął:

— Gówno!

Uroczystość była popsuta; poszliśmy spać i spaliśmy dwa dni. Potem przyjechało wiele ciężarówek. Załadowaliśmy nasze drewniane kuferki, rozebraliśmy baraki, Kamiński wznosił pięść w kierunku mostu (nabawił się tu reumatyzmu) i — pojechaliśmy.

Ciężarówki mknęły. Był to ten wymarzony dzień; wracaliśmy do domów, do naszych bliskich. Tam — został most. Był coraz mniejszy: każdy obrót kół oddalał nas od niego. Milczałem. Milczeli wszyscy. Myślałem, że będą kłać, śpiewać i wrzeszczeć. Czekałem na ryk Kazimierza. Na taniec Stefana. Na dziękczynne modły Kamińskiego. Na westchnienia ulgi. Na żartobliwe słowa i radość z bliskiego domu. Lecz milczeli. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że wszyscy patrzą w kierunku mostu; był już tylko małą kropeczką. Targnęło mną.

— No — rzekłem. — Czemu nic nie mówicie? Mielicie śpiewać. I co?

Milczeli; nikt nie zwrócił nawet uwagi na mnie. Krzyknąłem:

— Mówcie coś! No, mówcie coś, do ciężkiej cholery!...

Milczeli; widziałem, jak wyteżają wzrok ze wszystkich sił.

— Mówcie! — zawyłem dziko.

— M... m... — wybełkotał betoniarz Stefan z Marymontu; machnął ręką i umilkł.

Już nie było widać naszego mostu; został na równinie i przydymiły go opary mgieł. Wtedy zrozumiałem, że most ten — jest już tylko wspomnieniem. I ci, którzy będą po nim jeździć i chodzić, nigdy nie dowiedzą się, że ten most jest tylko naszym mostem. Płakaliśmy. Płakaliśmy wszyscy; miałem wtedy dwadzieścia lat i płakałem także, choć nie za dobrze wiedziałem dlaczego. Brakowało mi czegoś, co pozwoliłoby mi zrozumieć jasno i czysto nasze łzy. Bo dziś wiem już, że często najbardziej kochamy tych ludzi, te sprawy i te rzeczy, od których bieg życia każe nam odchodzić — nieraz na zawsze.